



Maria Jentys-Borelowska

Portret
w półcieniach

*Pamięci Mamy,
doktor Kamili Jentysowej,
której zawdzięczam dziecięcą fascynację
cyklami Artura Grottgera*

KAROL

Kończąc rankiem trzydziestego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku do drzwi Zakładu Naukowo-Wychowawczego dla Panien, mieszczącego się w kamienicy przy placu Świętego Ducha we Lwowie, Karol Młodnicki czuł ekscytację pomieszaną z niepokojem. Wiedział, że za chwilę stanie twarzą w twarz z narzeczoną zmarłego niespełna pół roku temu Artura Grottgera, ponoć najpiękniejszą kobietą Lwowa. Nigdy dotąd jej nie widział, jakoś nie zdarzyło się, może dlatego że po powrocie do kraju częściej przebywał u rodziców w Mikołajowie aniżeli we Lwowie, za to słyszał o niej wiele, bardzo wiele, od Artura. Ilekroć się spotykali, przyjaciel nie mógł przestać mówić o „swojej Pannusi”, „swoim Aniołku”, „najmilszym Dzieciuku”, „najukochańszej Poczucie”... Taki był: gorący, gorejący, jakby w stanie nieustannego wrzenia. Gdy kochał, to najbliżsi musieli o tym wiedzieć i dzielić z nim jego radość i szczęście.

Karol więc, czekając, aż drzwi zakładu panny baronówny Wentz zu Niederlahnstein otworzą się i ukaze się w nich jej piękna siostrzenica, odczuwał nieokreślone napięcie. Choć nie znał Wandy Monné, wyobrażał sobie, że śmierć

ukochanego była dla tej młodziutkiej dziewczyny ciosem druzgocącym, niektórzy mówili nawet, że z wielkiej bolesti pomieszało się jej w głowie, bo chwilami stawała się jakaś dziwna, nieobecna i jakby nie ona, a wtedy nie wiadomo było, co czynić, co mówić i jak się do niej odnosić... Karol obawiał się konfrontacji z rozpaczą Wandy. Tym bardziej, że i on odczuł boleśnie śmierć przyjaciela, nieoczekiwaną przecież i przedwczesną.

Nieoczekiwaną? Czy rzeczywiście? Młodnicki zamyślił się, cofnął wspomnieniami do lat monachijskich, kiedy poznał Artura i sporo czasu ze sobą przegadali. Dobrze pamięta jego barwne opowieści o pierwszej zimie wiedeńskiej, kiedy na śniadanie miał przeważnie cygaro, bo doskonale oszukiwało głód, a na obiad drugie cygaro, na kolację zaś piwo i tylko z rzadka jakieś konkretne, ciepłe jadlo, kielbaski wiedeńskie albo rozbratel z kartoflami, a zgrabiałe i odmrożone ręce nie mogły utrzymać ołówka, ilekroć próbował coś narysować w swoim nigdy nieogrzewanym pokoju, w którym zimą temperatura spadała nawet do zera stopni Celsjusza. Ciągłe wtedy cherlał, słabował, ale nie skarżył się na los i nie użalał nad sobą. Biegał po galeriach, muzeach i parkach, albo okutany w futro siedział w swojej biednej stancyjce, niczym niedźwiedź w gawrze, i czytał, czytał... (No i wzdychał do kolejnej ukochanej, gdyż co najmniej raz na tydzień zakochiwał się w jakiejś wiedeńskiej ślicznotce; głód miłości i potrzeba adoracji były w nim silniejsze bodaj niż głód jada i potrzeba zaspokajania go). Może wtedy zaczęła się choroba płucna, która go pokonała w ciągu dziewięciu lat?

Może... A pierwszy raz powaliła go jakaś nieokreślona słabość na długie pięć miesięcy w maju sześćdziesiątego roku, kiedy kończył pracę nad cyklem o Warszawie. Pochorował się tak ciężko, że wszyscy obawiali się o jego życie. Nie było wiadomo, co mu jest. Lekarze mówili o skrajnym wyczerpaniu psychicznym... To prawda, że mocno i głęboko przeżywał tragiczne wydarzenia warszawskie. Gdy Staś Tarnowski relacjonował przebieg lutowej demonstracji patriotycznej, podczas której kozacy zmasakrowali nahajkami i stratowali wielu ludzi, w tym kobiety i dzieci, a potem zaczęli strzelać do tłumu i padło pięciu zabitych, Artur płakał rzewnymi łzami... Niezmiernie poruszył go opis placu Zamkowego z pochodem demonstrantów niosących martwe ciała ofiar i krzyczących: „Hańba mordercom!”. Był pewien, że „zaczęło się” i „Warszawa pierwsza się podnosi”. W stanie nadzwyczajnego uniesienia i napięcia studiował doniesienia ze stolicy Królestwa w porannych, popołudniowych i wieczornych dziennikach, a potem gorączkowo przenosił na papier obrazy, które jak szalona wytwarzała jego wyobraźnia, rozpalona dziennikarskimi rewelacjami (miasta nigdy nie widział, nie był w Królestwie). W ciągu kilku, może kilkunastu dni powstał cykl o cierpiącej i zbuntowanej Warszawie, przejmujący cykl, który przyniósł mu rozgłos. Nic dziwnego, że się wyczerpał, wypalił. Do grudnia był jak pólumarły...

Karol drgnął i wrócił do rzeczywistości. W uchylonych drzwiach stała niska i drobna, pięćdziesięcioletnia kobieta o mądrych i dobrych czarnych oczach w brzydkiej twarzy i przyglądała mu się wyczekująco.

– Nazywam się Karol Młodnicki... Przyszedłem na prośbę panny Wandy Monné...

– Wiem, wszystko wiem – przerwała mu łagodnie. Głos miała cichy, miękki, lecz stanowczy. Patrzyła na Karola uważnie, z takim wyrazem twarzy, jakby myślała: „Kolejny artysta w naszych progach... Trzeba przyznać, że nader urodziwy i dobrze mu z oczu patrzy. Oby tylko nie zakochał się w naszej Wandzie, oby nie...”. – Siostrzenica uprzedziła mnie, że pan przyjdzie, aby u nas pracować nad dekoracjami do sarkofagu. Jest szczerze wdzięczna, że pan się podjął tego zadania... Sama nie może dziś wyjść do pana, niestety, nie czuje się dobrze... Ale ufa panu i zdaje się we wszystkim na pański gust i wycucie chwili. Wszystko przygotowała: stół, kartony, kredki, nożyce, kleje, rysunki i fotografie rysunków Grottgera, które mogą być panu przydatne. Czasu jest dużo więcej, niż miało być. Trumna nie przybędzie do Lwowa przed szesnastym czerwca, jak zapowiadano, zacy pan Krajewski bowiem, który ma ją eskortować od samego Amélie-les-Bains, czyli od podnóża Pirenejów, a to bez mała dwa i pół tysiąca kilometrów stąd, musi się borykać z coraz to innymi przeszkodami natury biurokratycznej i pieniężnej. Ten szlachetny człowiek zapowiada, że dobrze będzie, jeżeli transport z ciałem naszego nieodżałowanego przyjaciela dotrze do Lwowa na początku lipca. A dziś mamy trzydziesty dzień maja. Proszę za mną – zakończyła panna Wentz i poprowadziła przybysza w głąb mieszkania.

Karol szedł za swoją przewodniczką i myślał, że to na nią, strażniczkę Wandzinej cnoty (o dziwnym przydomku „Cit”), Artur tak często zżymał się, przeważnie jednak, jak to on, dobrotliwie lub żartobliwie, gdyż kontrolowała jego

korespondencję z narzeczoną, a w początkowym okresie narzeczeństwa sama pisywała do niego w imieniu Wandy, od niego zaś żądała, by listy przeznaczone dla ukochanej adresował do niej, panny Teresy Wentz. Artur więc, gotów uczynić wszystko, byle tylko dostać swoje „Dziewcząteczko”, posłusznie wypełniał wszystkie życzenia Cita, nawet takie, które naruszały jego prywatność i obrażały go w jego męskiej dumie. Karol wzdrygnął się na myśl, że to jego listy miłosne miałyby czytać jakaś obca, stara kobieta, ale rozumiał sytuację przyjaciela: Wanda, jako niepełnoletnia, nie była niezależna. Matka i ciotka były zobowiązane nieugięcie strzec jej reputacji.

– Wybrałyśmy dla pana – odezwała się znowu panna Wentz, krocząc szybko i energicznie – niewielkie, ale jasne pomieszczenie w moim zakładzie; zazwyczaj służy ono uczennicom jako pracownia rysunków i prac ręcznych, ale bez najmniejszej szkody dla ich edukacji może przez pewien czas posłużyć panu w jego zbożnym dziele. Jest tam duży stół, podręczny stolik, wygodny fotel, a ja już zadbam, aby nikt panu nie przeszkadzał. Na każde zawołanie będzie też dla pana kawa, herbata, woda, a w razie potrzeby także skromny posiłek.

Przeszli przez obszerny przedpokój i zatrzymali się przed drzwiami rekomendowanej pracowni. Panna Wentz otworzyła je, przepuściła gościa przodem, pożegnała go i oddaliła się do swoich zajęć. Karol wszedł, rozejrzał się, podszedł do stołu iłożył na nim rulon białego bristolu, który przyniósł ze sobą, oraz pękata tekturową tekę sporych rozmiarów. Potem zdjął długi, oliwkowy żakiet i powiesił go na oparciu krzesła, rozluźnił krótki, jasny krawat, po namyśle zdjął jeszcze kamizelkę – majowy ranek był bardzo ciepły, zanosilo się na upał – wyjrzał